

Kronika tygodniowa.

Pisanie kroniki tygodniowej nie jest dziś bynajmniej rzeczą ani zbyt łatwą ani też przyjemną, gdyż każdy tydzień tak jest podobnym do swego poprzednika, iż dobrze sobie trzeba nałamać głowę i porządnie drapać się po łysinie, nim się stamtąd coś nowego wydrapie.

Gdyby jeszcze można było pisać o sytności politycznej, ale tak, jak się tego może pragnie, sprawa byłaby załatwiona, w ubiegłym przecież tygodniu wytłumaczyłem się, dlaczego nie chcę i nie mogę pisać się na niepewne flukty głębokiej polityki, w której bardzo łatwo można utonąć.

Ale Pan Bóg łaskawy widocznie i na Mazury, nie tylko dla Ukraińców!

Gdy w bieżącym tygodniu biłem się z myślami od czego mam zacząć obecną kronikę, pisałem, jeśli się nie mylę, w szeregu wielkopłetwych, (a biłem się tak energicznie, że do dnia dzisiejszego zostało jeszcze kilka sińców, nie będących jednak następstwem jakiegoś, jakby kto może przypuszczał, nieporozumienia małżeńkiego...) oddano mi trzy kartki korespondencyjne od Czytelników i Czytelniczek zwracających się do kronikarza z rozmaitymi boleściami.

Na cześć boleści jestem zaś bardzo czuły i chętnie ją z drugą, a tym bardziej z drugą, dzielę od odpowiedzi na nie za znużam, bijąc się, by przypadkowo, pozostawiam na sam koniec, nie spotkały się z oświadczeniem pana metrapaży, że „brak miejsca“.

Od porządku, wyznaczonego w gramatyce, odstępuję i daję pierwszeństwo rodzajowi żeńskiemu.

Jedna z Czytelniczek zwraca się za pośrednictwem kronikarza do redakcji *Nowości ilustrowanych*, wyrażając swe ubolewanie, iż w każdym numerze pisma spotyka się z ogłoszeniami firm niemieckich (wiedeńskich) tak, jak gdyby polskich nie było.

Przyznaje jej najzupełniejszą rację, ale muszę też dodać słów kilka *pro domo sua*. Firmy polskie są, to prawda, ale cóż my temu jesteśmy winni, jeśli się one w żaden sposób nie chcą ogłaszać, choć nie musi to być tak złem, skoro nie zapominają o tem firmy niemieckie. Trzeba zaś pamiętać, że kwestya ogłoszeń jest dla każdego wydawnictwa bardzo poważną rubryką dochodów i ona właśnie przyczynia się, a raczej przyczynić powinna, do pokrycia lwiej części kosztów współpracownictwa, papieru, druku itd., których samą prenumeratą, lub kwotą uzyskaną ze sprzedaży pojedynczych numerów, opłacić się nigdy nie potrafi.

Prawda, że dziś dla naszego handlu i przemysłu nastały bardzo ciężkie czasy, ale też również prawdą jest, że nasi kupcy i przemysłowcy znaczenia ucziwej reklamy nigdy nie rozumieli lub też rozumieć nie chcieli, uważając to za wielką łaskę ze swej strony, jeśli który zdecydował się kiedy na danie ogłoszenia i to jedynie pod warunkiem, aby to wiele nie kosztowało. W ostatecznym wypadku, gdy się już którego zdołało nakłonić do takiej, według jego zdania, „lekkomyślności“ i niepotrzebnej zgody wyrzucenia pieniędzy, domagał się jeszcze, by cenę inseratu mógł zapłacić nie w gotówce, ale swym towarem, bez względu na to, czy wydawca go potrzebuje, czy nie.

Jakże zupełnie inaczej wyglądają pisma wydawane na Zachodzie, choćby tylko we Wiedniu, gdzie więcej niż połowę numeru zajmuje część reklamowa i ogłoszeniowa, pokrywająca z nadwyżką koszt wydawnictwa. W takich warunkach można myśleć o wprowadzeniu ulpszeń, niższeniu prenumeraty i innych, tym podobnych świadczeniach na rzecz Czytelników, ale nie u nas, gdzie się z reguły nie docenia wartości ogłaszania się w pismach, zwłaszcza swoich, gdyż każdy interesant chętniej da swój inserat do obcego pisma, wychodząc z założenia: „Niech się o mnie dowie i zagranica!... Kto będzie chciał u mnie kupić, ten mnie znajdzie, nie potrzebuje się reklamować, gdyż mój towar sam się chwali!...“

Ale to jest dość prowincjonalne pojmowanie sprawy, czego dowodem właśnie owe firmy zagraniczne, które wiedzą bardzo dobrze, że każda korona, wydana na ucziwą reklamę, wraca się stokrotnie. Każdy, biorąc do ręki pismo codzienne, czy też peryodyczne i czytając ogłoszenia, natrafi przecież na takie, które go zainteresuje i powie sobie: „Warto spróbować“. I pójdzie i kupi, a potem jeszcze i drugiego zachęci, by uczynił tak samo.

Mam tu na myśli naturalnie tylko ucziwą reklamę, to jest podawanie w ogłoszeniu faktycznego stanu rzeczy, nie jakowychś tam szumnych obietnic, w guście owych „sześciuset praktycznych przedmiotów za trzy korony“, na które ludzie nieraz na lep się biorą. Ale temn także dziennik nie winien, lecz tylko ów niesumienny spekulant, znający wartość ogłaszania się i nie żałujący na ten cel monety.

Ogłaszać się więc, jak z tego widać, warto, a robi się w ten sposób dobrze nie tylko samemu sobie i swemu przedsiębiorstwu, ale pośrednio przyczynia się i do poparcia dziennikarstwa, od którego można wówczas wymagać, aby ono stanęło na tym stopniu rozwoju, na jakim widzimy pisma zagraniczne.

Nieraz się słyszy ntyśkiwanie, że, dajmy na to, ryciny w *Nowościach ilustrowanych* nie mogą nawet iść w porównanie z obrazkami w lipskiej ilustracji, lub choćby w wiedeńskich tygodnikach, ale z zasady zapomina się o tem, w ilu tysiącach egzemplarzy rozchodzi się tamte publikacje i ile kroć tysięcy, a nawet milionów zbierają rocznie za ogłoszenia.

U nas, niestety, dzieje się zupełnie inaczej. Każdy czytałby chętnie i chciałby, aby tego było i dużo i było bardzo ładne, ale stawia jeden tylko mały warunek: aby go to, broń Boże, przypadkiem nie kosztowało! Dowiedziona jest rzeczą, że w tym kierunku najsroźszymi krytykami są ci, którzy pisma nie prenumerują, ale czytają je w kawiarniach lub pożyczają od znajomych.

W takich warunkach i przy takim poparciu ogółu o rozwój polskiego dziennikarstwa ani mowy być nie może i bynajmniej nie powinno się wyrażać oburzenia, ani nawet zdumienia, jeśli się w polskim piśmie spotka ogłoszenie obcej firmy, dział bowiem inseratowy jak powtarzam, to najważniejszą rubryką w budżecie każdego wydawnictwa. Zbyt przebiegać, zwłaszcza w tych ciężkich czasach, gdy ceny wszystkiego tak gwałtownie podskoczyły, nie można, musi się wychodzić ze założenia, że „na bezrybiu i żaba ryba“. (Dawniej mówiono „rak“, dziś musimy być zadowoleni, jeśli mamy... żałą!).

A że tak jest, a nie inaczej, temu winno tylko samo społeczeństwo, które wobec tego wyrzutów nam czynić nie powinno i nie może.

Zupełnie to samo odpowiedzieć się musi na zarzut, że nie zamieszczamy powieści pióra naszych wybitnych autorów. I w tym wypadku przyznaję rację Szan. Interpelentce, ale, powołując się na to, co wyżej, proszę o wskazanie źródła skąd wziąć na to?... Darmo nie się nie dostanie, prawo drukowania powieści kosztuje więcej, niż sobie ktoś niefachowy wyobraża, a wydawnictwo *Nowości ilustrowanych* robi już wiele, zamieszczając na swych łamach z zasady jedną powieść oryginalną, a tylko drugą tłumaczoną.

Niechaj jednak każdy z malkontentów zaagituje w kołach swych znajomych, by *Nowości ilustrowane* mogły mieć bodaj sto tysięcy prenumeratorów (nie gratisowych czytelników!) a dział ogłoszeniowy zajął w każdym numerze bodaj z dziesięć kartek, wówczas pokażemy, co potrafimy, bo będzie nas stać na to, na razie zaś musimy się liczyć z tą przykrą rzeczywistością, że pierwszym warunkiem racjonalnego prowadzenia jakiegokolwiek przedsiębiorstwa, więc i wydawnictwa, jest postaranie się o to, by... związać koniec z końcem.

O to zaś, zwłaszcza dziś bardzo trudno i jeśli się doprowadzi do tego, by dochody pokryły wszelkie wydatki, a jako zysk pozostało piękne, okrągłe zero, musi się być zadowolonym i mówić, że „rok był nie najgorszy!...“

Mamy przecież nadzieję, że po wojnie to się poprawi.

Druga kartka pochodząca od przedstawiciela rodzaju męskiego zawiera również narzekania, iż podwyższyliśmy cenę prenumeraty i zmniejszyli objętość pisma.

Że tak jest w samej rzeczy, przekonałem się o tem na swe własne oczy. Stało się więc zupełnie to samo, co z owym restauratorem, który podniósł cenę potraw, równocześnie zmniejszając ich wielkość.

Dlaczego on tak postąpił, tego nie wiem, gdyż restauratorem nigdy dotąd nie byłem, nas zmusiła do tego przykra konieczność.

Przedewszystkiem nie uczyniliśmy tego równocześnie, ale najpierw podnieśliśmy ceny, i to bardzo stosunkowo nieznacznie, wyłuszczając dokładnie, w jak ciężkich się obecnie wydawnictwo znajduje warunkach, gdy ceny niektórych niezbędnych artykułów, dajmy na to choćby cynku na klisze i chemikaliów, potrzebnych do ich trawienia, doszły niejednokrotnie ceny kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt razy większej, niż normalne, przedwojenne!... Cóż my jesteśmy temu winni, że tych samych rzeczy potrzebnym Mars do prowadzenia swego interesu i zabiera je bez pardonu Muzom z przed nosa?... A one słabe niewiasty, mnszą się na to zgodzić, bojąc się, by ich w razie oporu nie pociągnięto do świadczeń wojennych. Wystarczy powiedzieć, że cynk, który w całej ilości zajęła wojskowość, kupuje się dziś prawie na wagę złota i to w takim gatunku, jakim dawniej nie zdecydowałby się nikt nawet kryć dach!... I jeszcze trzeba być zadowolonym, że się taki dostało.

Objętość pisma, na czem część literacka i ilustracyjna prawie zupełnie nie ucierpiała, zmniejszyliśmy dopiero w ostatnim czasie, gdy o papier coraz trudniej. Kierowaliśmy się w tym względzie myślą, że lepiej dawać mniej, a dłużej, niż wyszastać się od razu, a potem nagle urwać. W ten sposób może nam się uda jakoś przetrzymać do końca. Gdyby stało się przeciwnie, wtedy dopiero miałby Sz. Korespondent słuszny powód do narzekania.

Jak zaś o papier trudno, niech tego będzie dowodem moje własne doświadczenie. Za arkusz zwykłego psipieru kancelaryjnego, jaki przed wojną nabywało się po trzy arkusze za centa, dziś płaci się sześć halerzy, a kupiec powiada jeszcze, że odstępuje tylko po znajomości, gdyż zapasy już wysprzedał, a fabryki stoją.

Dawniej pisywałem kronikę na papierze ministerjalnym (inaczej drukarze nie chcieli jej składać!), dziś jestem kontent, że mam taki a i tego wkrótce jak powiadają, braknie. Od wartości papieru zależy zaś i jakość kroniki, ilekroć bowiem spojrzę na kartkę, leżącą przedemną (pisać z zamkniętymi oczami dotąd nie umiem...) i przypominę sobie, że za tę bibułę zapłaciłem aż sześć halerzy, żal serce ścisną, humor ulatuje, a z serca i nst dobywa się westchnienie:

— Oby ta wojna już się raz skończyła!

Na trzecią kartkę, zaczynającą się od słów pochwały, iż ładnie i dobrze napisałem o pann Onyszkie, nie mogę na razie nic odpowiedzieć, pismo bowiem tak jest niewyraźne, iż w żaden sposób odcyfrować jej nie potrafię, a nasz redakcyjny grafolog wyjechał właśnie na czas dłuższy i niewiadomo, kiedy powróci.

Martwiłem się, nie wiedząc, od czego mam kronikę zacząć, teraz jestem znów w kłopotcie, czem ją zakończyć, gdyż dotąd właściwie żadnego jeszcze aktualnego tematu nie poruszyłem.

Najaktualniejszym, sądzę, będzie chyba rozdział o chlebie i połączonym z nim złotem niebezpieczeństwem, na które proszę się jednak nie zapatrywać w zbyt czarnych kolorach, gdyż nie jest ono tem, co każdy z Czytelników ma w tej chwili na myśli.

Chciałem tylko zaznaczyć, że ubiegły tydzień zaznaczył się znown brakiem chleba, gdyż mąka, jak zwykle nie nadeszła ani z tej, ani z tamtej strony. Ukraińska ma być podobno, ale dopiero... w maju. Tak głosi zapewnienie nrząd we wiahomu zaś, co oznacza w gwarze ludowej wyrażenie „w maju“.

W jakim zaś stosunku stoi z chlebem owo złote niebezpieczeństwo, zaraz to postaram się wytłumaczyć. Niechaj jednak nikt nie myśli, że ma ono jakiś związek z polityką. Broń Boże!... Dałem sobie przecież słowo, że jej nie poruszę, chyba... Ale na to „chyba“ jeszcze czas nie nadszedł! Nie rozchodzi się tu bynajmniej o Jańców, Cieńców, lub innych przedstawicieli rasy złotej, którymi nas teraz zaczynają tak straszyć, jak dawniej dzieci kominiarzem, tylko o złote niebezpieczeństwo zupełnie wewnętrzne, nie zaś zewnętrzne.

Rozchodzi mi się jednym słowem o chleb, którego na razie wprawdzie niema, ale gdy będzie, nżyje się do jego wypieku pewnego procentu mąki knkurudzianej, prócz innych domieszek, o których się nie mówi, tembardziej zaś nie pisze. W miarę jak przednowek będzie się stawał coraz cięższy, zwiększać się będzie i owa procentowa domieszka mąki knkurudzianej, aż dojdzie wreszcie do tego, iż wyruguje zupełnie mąkę, dotąd do wypieku używaną. Chleb ów stawać się będzie zatem z dniem każdym coraz to złociejszym.

Potem nadejdzie czas, iż ów procentowy dodatek mąki knkurudzianej zacznie się stopniowo zmniejszać, zwiększając się zaś owe inne dodatki, o których się nie mówi i nie pisze, aż wreszcie i one wyrugują zupełnie mąkę knkurudzią, a chleb z złotego stanie się coraz bardziej szarym, przypominającym, dajmy na to... trociny.

I to właśnie zółknięcie stopniowe chleba, a potem powolną utratę owej kanarkowej barwy nazywam „złotem niebezpieczeństwem“. Stanie się ono niem zaś dopiero naprawdę, gdy ów złoty kolor zupełnie zniknie, a zastąpi go szary. Jeśli od t j chwili do przyszłych zbiorów nie upłynie wiele czasu, to jeszcze pół biedy, gorzej będzie jeśli ten okres potrwa bodaj ze dwa miesiące, chyba, że otrzymamy to, co mieliśmy dostać w maju.

To więc, jak chyba każdy przyznać musi, złote niebezpieczeństwo, o którym wyżej mowa, jest stokroć groźniejsze od owego, jakie nam grozić może od kosołkich synów Wschohu. Z nimi, jeśli miałyby przyjść do czego, jakoś sobie damy już radę, nikt przecież nie poradzi, gdy maciek zacznie mruczeć i upominać się o swe prawa.

